LOKALNIE · FELIETON

PRZEGRYWAMY WOJNĘ O EDUKACJĘ (WSZYSCY)

Marceli Hejwowski · 8 maja 2024

W mediach powtarzają się pewne tematy, o które toczą się nieustanne spory. Jeśli porównać debatę do wojny, to jest to raczej długa i wyczerpująca wojna pozycyjna. Jedną z tych wojen jest ta o oświatę.

Większość Polaków ekscytuje się tematem edukacji. Tak jest obecnie – kiedy resort ten został przejęty przez nową koalicję rządzącą. Tak było za czasów urzędowania ministra Przemysława Czarnka (2020–2023) – budzącego ogromne emocje. Dla niektórych był jakimś okropnym demonem konserwatyzmu, dla innych – katechonem. Jego poprzedniczka na tym urzędzie, minister Zalewska, może i była bardziej stonowana, ale przeprowadzona przez nią reforma, polegająca na usunięciu gimnazjum, również budziła kontrowersje. Z całą pewnością wywoływać je musiała także reforma rządu AWS, która spowodowała w 1999 r. odejście od systemu ośmiu lat podstawówki i czterech lat szkoły średniej. Warto też wspomnieć o ministrze Giertychu, który w pierwszym PIS-owskim rządzie (2005–2007) zajmował się oświatą. Za czasów jego urzędowania na al. Szucha wywołał sporą burzę swoimi decyzjami – usuwaniem Gombrowicza z kanonu lektur, nakazaniem noszenia tzw. mundurków („tzw.", bo w wielu szkołach nie miały one nic wspólnego ze znanymi nam z filmów i seriali mundurkami z brytyjskich szkół; były to np. jednokolorowe T-shirty).

Wiele szumu było też w czasie, gdy minister edukacji wyższej (2015–2020), Jarosław Gowin, proponował swoją reformę. Co łączy te wszystkie sprawy? Otóż tak naprawdę za każdym razem zmieniło się naprawdę niewiele. Wszystkie te głośne projekty dotykają spraw marginalnych lub najwyżej drugorzędnych. Albo – jak w przypadku modeli podstawówka-liceum czy z gimnazjum pośrodku – w pewnym stopniu ważnych, w dużej mierze dotykających życia uczniów i nauczycieli, ale ostatecznie niemających większego znaczenia, ponieważ nie towarzyszy im próba zmiany podejścia, odczarowania zastanej mentalności – uczynienia ze szkół miejsc osadzonych w rzeczywistości i szukających odpowiedzi na wyzwania, jakie stawia współczesność.

CZYTAJ TAKŻE: **Uniwersytet pod ostrzałem. Czy postępowe szaleństwo zabije wolność akademicką?**

Szychta po szychcie

Ostatnią dyskusję zdominowały prace domowe. Zapowiedź ich likwidacji, a w praktyce – ich pilotażowe ograniczanie. Zasadniczo byłaby to zmiana pozytywna.

Prosty eksperyment myślowy: uczniowie spędzają większość dnia w szkole, 7–8 godzin zegarowych. W praktyce robią pełen etat. Dodajmy to tego czas na dojazd, w skrajnych przypadkach (mniejsze ośrodki lub przeciwnie – dojeżdżanie na drugą stronę wielkiego miasta) nawet godzina. Załóżmy optymistyczny wariant: pół godziny. W obie strony daje to godzinę. Mamy więc 8–9 godzin spędzonych na dojeździe i w

szkole. Każdy nauczyciel uważa swój przedmiot za najistotniejszy, dlatego zadaje pracę domową dla utrwalenia przekazywanej wiedzy, lub robi to, ponieważ nie wyrabia się z materiałem na lekcji. Już w 8. klasie podstawówki przedmiotów jest kilkanaście, a w liceum ta liczba jest większa. Załóżmy, że danego dnia wypada pięć przedmiotów. Z trzech z nich nauczyciele zadali pracę domową mniejszą – taką do zrobienia w 20 minut. Kolejna godzina. Dwa z nich to np. język polski i matematyka, a więc przedmioty, z których prace domowe są większe i trudniejsze. Załóżmy, że trzeba na nie minimum pół godziny. Kolejna godzina. Mamy w tej sytuacji 10–11 godzin jednego dnia spędzonych na czynnościach związanych ze szkołą. Można dodać jeszcze do tego konieczność powtórzenia materiału z innych dziedzin na sprawdzian. Jakieś zajęcia dodatkowe. I korepetycje. Rynek korepetycji w Polsce, warto wspomnieć, jest rynkiem dynamicznie rozwijającym się i konkurencyjnym.

Nagle z 7–8 godzin „przyjemnej etatowej pracy" robi się kilkunastogodzinna szychta. O przeciążeniu uczniów pracami domowymi (które w moim eksperymencie myślowym zajęły 2 godziny dziennie) można przeczytać w badaniu PISA z 2022 r. Podawało ono, że polscy piętnastolatkowie pracują w domu średnio 1,7 godziny dziennie[1].

8 + 8 + 8, czyli balans

Ciche urastanie czasu poświęconego szkole do kilkunastu godzin dziennie jest cywilizacyjną degradacją. Już w XIX w. ludzkość odkryła koncept ośmiogodzinnej pracy. Nie chodzi w nim o to, że liczba osiem jest szczególną liczbą, która zwiększa efektywność. Rzecz w tym, że dobę można podzielić na trzy równe, ośmiogodzinne części. Jedna część na pracę, druga część na odpoczynek po niej, czas z rodziną, rekreację, trzecia – na sen. W rozwoju tej idei nie chodzi o to, żeby zawsze pracować osiem godzin, czy zawsze spać dokładnie tyle. Są różne zawody, różne modele pracy, które pozwalają osiągnąć optymalną efektywność i zarobki, różne potrzeby snu. Chodzi jednak o to, że między pracą, odpoczynkiem i czasem dla bliskich a snem musi być odpowiedni balans.

> Szkoła, zajmując nawet kilkanaście godzin dziennie, zabiera ten balans. Mało tego, uczy młodych ludzi niezdrowego trybu życia, który później reprodukują w pogoni za sukcesem.

A potem zdziwienie, że po trzydziestu, czterdziestu latach ma się wyniszczone ciało. Poza tym, jeśli szkoła zajmuje połowę doby lub więcej, to jak w tym wszystkim znaleźć czas na pasję nauki? Na rozwijanie swoich zainteresowań? Na odkrywanie dziedziny życia, w której jest się mocnym, którą można spieniężyć w konkretnym zawodzie, która może stać się powołaniem życiowym? Sporo zainteresowań, pożytecznych hobby nie jest przedmiotem nauczania w szkole. Taki model może przynieść również negatywne skutki dla życia duchowego i religijnego młodych ludzi oraz ich relacji z najbliższymi.

Ktoś powie, że *repetitio est mater studiorum*. Pewnych rzeczy nie da się wyuczyć jedynie na zajęciach. Ale, po pierwsze, są to pewne specyficzne dziedziny. Po drugie, uczymy odpowiedzialności opartej na irracjonalnym strachu („nauczyciel postawi ci pałę, jak nie zrobisz pracy domowej"), a nie na rozumnej odpowiedzialności („muszę sam sobie narzucać wyzwanie, żeby się rozwinąć w tej dziedzinie, zdać egzaminy państwowe, znaleźć dobrego pracodawcę, studia").

Potrzebujemy mądrzejszej dyskusji

Głupota debaty nt. prac domowych polega na tym, że zwolennicy reformy pokazują jedynie obciążenie uczniów i że likwidacja prac musi być całkowita. Jej przeciwnicy mówią jedynie o tym, że IQ uczniów spadnie, że prace domowe były zawsze i że infantylizujemy edukację. Tymczasem w rozumnej debacie spieralibyśmy się inaczej. Czy prace domowe nie są konieczne w wyrobieniu zdrowych nawyków na wczesnym etapie edukacji? Czy zamiast krótkoterminowych prac domowych nie lepiej byłoby w późniejszych latach dawać do wykonania długoterminowe projekty, przy których *research*da więcej niż powtarzanie głupich zadań z podręcznika? Przede wszystkim zaś, czy nie zaprzepaściliśmy istoty studiowania, nauki – tego, że wykłady, seminaria, konwersatoria (zwane w szkolnictwie niższym jednym terminem: lekcje) powinny być impulsem do pogłębienia wiedzy? Wiedzy, którą zgłębia się na własną rękę, konfrontuje w dyskusjach z rówieśnikami i nauczycielami, którzy bardziej powinni rozwijać pozytywne cechy swoich uczniów, zamiast urabiać ich na jedną modłę. Szkoła powinna pomóc odkrywać mocne strony uczniów. Wskazać im, w czym są mocni, co mogą rozwinąć, w którą stronę pójść w przyszłości.

Podobnie w kwestii listy lektur. Dyskutuje się, czy w pisarstwie nowożytnym powinien być raczej Gombrowicz czy Wojtyła, czy powinno być więcej Mickiewicza czy Słowackiego. Tymczasem listy lektur można by w ogóle zmienić istotowo. Powinniśmy wybrać garść istotnych tekstów dla polskiej kultury, dajmy na to *Bogurodzicę*, coś z Mickiewicza, *Wesele* Wyspiańskiego, coś z poezji czasów II wojny światowej i PRL-u... a resztę do wyboru. W gestii nauczycieli, rodziców i samorządu szkolnego zostawić wybór konkretnych pozycji. Dać jedynie pewne ogólne kryteria wyboru lektur. Swoją drogą, warto wspomnieć, że jest wiele książek, które można by omawiać na innych zajęciach, również poświęconych przedmiotom ścisłym.

Język polski, czyli co?

Dochodzimy do kwestii, jaki jest w ogóle cel języka polskiego. Jest to nauka języka ojczystego – wprawnego posługiwania się nim, rozumienia go, mówienia i pisania. Lektury więc powinny opierać się na żywej polszczyźnie, nie na historycznej. Myślę, że można by wydzielić (zwłaszcza na późniejszym etapie edukacji) taki przedmiot jak historia literatury. Niestety jednak obecnie historia literatury przeważa na języku polskim. I to niekoniecznie polskiej literatury. Co jest pewnym kuriozum, ponieważ wiele lektur można by czytać w ramach nauki języka angielskiego czy częstych w polskiej szkole: niemieckiego, francuskiego, hiszpańskiego czy włoskiego.

> Ale to nie znajomość literatury, toposów i motywów (która też może być na swój sposób przydatna) jest celem języka polskiego jako przedmiotu. Celem jest nauka języka polskiego. Wprawnego posługiwania się nim i rozumienia go. To nie jest błaha kwestia. Język jest głównym nośnikiem tożsamości narodowej. Jego spoistość, wzajemne rozumienie się posługujących się nim jest kluczowe dla przetrwania społeczeństwa. Swoją drogą ogromnym wyzwaniem w niedalekiej przyszłości będzie napływ ogromnych mas migrantów, którzy nie umieją polskiego i nie chcą się go uczyć. Przede wszystkim mowa o Ukraińcach, Białorusinach i Rosjanach, którzy już tu są. Problemy wynikające z tego wyzwania pojawiają się już w szkołach. Ale to temat na kolejny tekst.

Powinniśmy wrócić do średniowiecznej idei nauczania najpierw *trivium*, a dopiero później tych bardziej

szczegółowych sztuk wyzwolonych, czyli *quadrivium*. Czym było *trivium*? Do trójki tej zaliczały się gramatyka, retoryka i dialektyka. Innymi słowy, podstawą nauki była umiejętność wypowiadania się, rozróżniania argumentów, rozumienia języka. Myślę, że filozofia nauczania języka polskiego powinna być podobna.

CZYTAJ TAKŻE: Czy istnieje uniwersalny przepis na sukces systemu edukacji? Cz. 1

Problemów jest więcej

Innym problemem jest ilość materiału, który muszą opanować uczniowie. W każdej dziedzinie potrzebna jest faktografia. Ale obecnie dużo ważniejsza niż posiadanie wiedzy jest umiejętność czerpania ze źródeł, tj. wyszukiwania informacji i ich weryfikacji. Żyjemy w świecie, który jest wielką biblioteką. Potrzebujemy mieć podstawową wiedzę o nim i o dorobku naszej cywilizacji, ale powinniśmy też umieć posługiwać się katalogiem tej biblioteki.

Politycy i media poruszają też nieustannie temat podwyżek dla nauczycieli. Domagają się ich ciągle związki zawodowe nauczycieli. Uważam oczywiście, że powinniśmy rozmawiać o podwyżkach, ale winniśmy też, mówiąc kolokwialnie, „pogonić" związki zawodowe. Zlikwidować kartę nauczycielską w obecnej formie, a co za tym idzie – przywileje dla starych mentalnie, leniwych i zacofanych nauczycieli. Szlachetna profesja, jaką jest nauczanie, powinna być zawodem dobrze płatnym, przyciągającym młodych absolwentów uczelni, ale musi też być do pewnego stopnia polem rywalizacji, motywować nauczycieli do stałego rozwoju, doskonalenia metod i dostosowania się do wyzwań, jakie stawiają nowe pokolenia.

Sądzę też, że należy w pewnym sensie odpolitycznić edukację. Owszem, zmienić formę obecnego ministerstwa funkcjonującego przy alei Szucha w jakieś mniejsze i bardziej eksperckie gremium. Owszem, powoływać na ministrów fachowców itd. Ale to jest drugorzędne. Ważniejsze jest, żeby zmniejszyć wpływ ministerstwa na szkoły. Są trzy grupy, które powinny mieć decydujący wpływ na to, jak wyglądają szkoły: nauczyciele, rodzice i uczniowie. Dajmy więcej swobody nauczycielom. Przyznajmy większy wpływ rodzicom, którzy chcą się zaangażować w edukację swoich pociech. W końcu pozwólmy samorządom szkolnym mieć realny wpływ, chociażby kontrolny, na to, co dzieje się w szkole. Nie uczmy młodych ludzi jakiejś parodii demokracji.

Konkluzja

To są istotne tematy. O tym powinniśmy dyskutować w debacie o szkolnictwie. Może wtedy nasza wojna, zamiast być wojną pozycyjną, stałaby się blitzkriegiem.

Problemów i kwestii do rozwiązania jest oczywiście więcej. Zwłaszcza jeśli do dyskusji tej dołączymy jeszcze temat szkół wyższych czy kwestię szkół zawodowych i techników – w ocenie społecznej uważanych za gorsze i w dużej mierze będących straconym potencjałem polskiej edukacji. Zmiana nie dokona się, jeśli nie zaczniemy dyskutować na ważne tematy i oddolnie wpływać na szkolnictwo niższe i wyższe.

To oczywiście nie będzie łatwe, czeka nas dużo pracy, ale pozwolę sobie na zakończenie przytoczyć słowa poety:

„Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei /
I przed narodem niosą oświaty kaganiec" (*Testament mój*, Juliusz Słowacki)

1. https://www.ibe.edu.pl/images/publikacje/IBE_policy_brief_BM201401_Prace_domowe_v20240229.pdf, dostęp: 22.04.2024 r.

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/przegrywamy-wojne-o-edukacje-wszyscy/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć